

STANISŁAW NYCZAJ

# Rozpięty pomiędzy Julianem Przybosiem a Stanisławem Grochowiakiem

## Wspomnienie o Julianie Przybosiu (1901–1970)

Mam autografy Juliana Przybosia z 1960 i 1964 roku. Drugi wpis otrzymałem po jego spotkaniu autorskim w 1964., jakie szczęśliwie zdarzyło się w Klubie Akademickim „Skrzat” opolskiej WSP – Domu Studenta przy Katowickiej. Było prawdziwie tłumne. Siedziałem w środku nabitej rówieśnikami sali. Było to wielkie wydarzenie dla nas wszystkich. Przyboś promieniał, lubił mieć wielu słuchaczy. Czytał po swojemu, z uniesieniem, czyniąc znaczące pauzy i zawieszając głos przed poetycką niespodzianką: wykwinną metaforą, neologizmem, jakby na nowo dokonywał odkrycia. Taka „natchniona” recytacja robiła wrażenie, podobała się, bo patos nie raził inkrustowany słowiarskim eksperymentem.



Julian Przyboś – portret

W komentarzach pomiędzy recytowanymi wierszami podkreślał swą opozycję wobec liryki tradycyjnej, operującej prostymi, „łatwymi” skojarzeniami, gramatycznymi rymami, zadowolającej się formalnymi stereotypami grzecznych strof zwrotkowych. Słuchając z napiętą uwagą, zgadzaliśmy się z nim we wszystkim. Był dosadny, przekonujący. Krytykował z przejęciem, na poważnie. Aczkolwiek...

Siedzący dwa „rzędy” za mną na podłodze z wyciągniętymi na kilometr nogami, Wiesław Kazanecki, w pewnym momencie coś mrucząc pod nosem, zebrał się w sobie, na łokciach przypołożył i prawie zawałał (był śmielszy od nas, dopiero co po książkowym debiucie w „Śląsku” tomem *Kamień na kamieniu*):

– Drogi panie Julianie! – jękał się trochę, co wypowiedzi najwyższego w otoczeniu

przydawało nawet pewnego wdzięku. – Pan mówi, że inni są tacy rzewni, czułościowi, a przecież u pana występuje co i rusz ten banalny, staroświecki słowik, który pana z każdą niemal wiosną rozczula.



Julian Przyboś z córką Utą na spacerze w Oborach (wrzesień 1970). Fot. D. Kula

Po sali przeszedł śmierć, po czym zapanowała absolutna cisza. Cisza napiętego wyciekowania, co mistrz na to?

Niziutki wzrostem Przyboś wstał z za stolika, wyciągnął przed siebie rękę w kierunku naszej grupy i powiedział:

– O, tak, ma pan rację, że słowik u mnie również występuje. Ale rację ma pan jednak... niezupełną. Niesłuszną. Bo mój słowik, proszę pana, nie tylko kwili. On także... gwizdże!

Riposta, mocna, zdecydowana, natychmiastowa wzbudziła aplauz. Był to zarazem szczerzy śmiech podziwu dla niebywałego refleksu mistrza. Lecz i wysoki Wiesław Kazanecki jeszcze w naszych oczach urósł. I jego podziwialiśmy. Za brak kompleksu, śmiałość. Nikt by się na podobną nie zdobył.

Przybosiova poezja, która imponowała mi od dawna swą oryginalną poetycką świeżością (w pełnej skali: dynamicznego podejścia do tematu i wyrażenia tego doń stosunku w sposób niepowtarzalny, językowo tylko jemu właściwy) streściła się dla mnie w wierszu *Kamień i znak* z tomu *Więcej o manifest* (1962). Gdy ten wiersz po raz pierwszy przeczytałem w prasie, nie mogłem się oderwać. Przeczytałem raz, drugi i trzeci, i przyswoiłem na pamięć (po dziś dzień, moim zdaniem, może w oczach miłośników poezji rywalizować z Wisławy Szymborskiej wspaniała, acz jakże pod każdym względem odmienną, *Rozmową z kamieniem*):

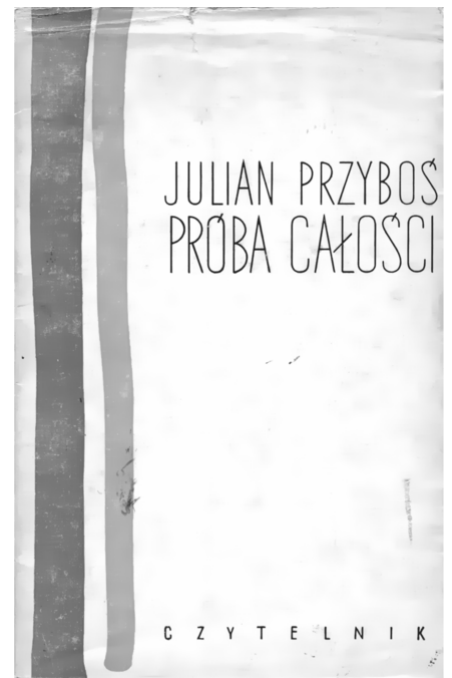
**Kamień i znak** (fragment)

[...]

Jak zmówić ten kamień,  
pacierz zapomnień,  
jeden za wszystkie od małych do młyńskich,

mamrocząc marmur, sepleniąc selenit,  
i jak się modlić, jeśli nie bezbożnie  
do jego obrazu w mózgu,  
kiedy szarość  
rozblyska  
i nagle  
(ja ujrzałem, tyś dotknęła, a on stawił twardy opór)  
on, jeden, we znak zmieniony jak menhir,  
jest,  
jest tak jaskrawo, będąc w bólu głowy  
diamentowym obrysem jej wnętrza,  
że starł swój powód leżący na drodze – [...]

Podziw dla niedoścignionego kunsztu tego utworu zablokował mnie na pewien czas. Zważyłem, czy zdołam napisać wiersz równie bogaty w treść, piękny i wymowny. Podziw ten jeszcze wzrósł później, gdy dopiero w wydaniu książkowym *Zapisków bez daty* (1970) przeczytałem, jak wiele osóbście przeżytych zdarzeń złożyło się na inspirujący impuls. Że podniosłem się jakoś z kompleksu, nie oznaczało, iż jestem dotąd z siebie dość zadowolony.



Próba całości – okładka

Juliana Przybosia spotkałem niedługo przed jego śmiercią na jednej z Kłodzkich Wiosen Poetyckich w Polanicy. Wracaliśmy całą grupą do noclegowych willi po dłuższym spotkaniu dyskusyjnym. Wszyscy, pomimo zmęczenia, nadal byli zaferowani rozmową. Droga lekko wznosiła się. Wytrącony naraz